

Grasz na giełdzie? Oto, dlaczego jesteś frajerem

Jacek Chołoniewski

Giełda to pasożytniczy cyrk i zakrojone na ogromną skalę dojenie naiwnych. Zarabia tu finansjera i korporacje, a tracą indywidualni gracze.

Na giełdzie papierów wartościowych można kupować firmy. Są one duże, a więc drogie. Jednak, aby nie zamykać nikomu drogi do kupowania firm, wymyślono sprytny sposób: dzieli się firmę (oczywiście tylko umownie) na wiele małych, dużo tańszych kawałków i je sprzedaje. Świadectwo własności takiego kawałka, to akcja. Jeśli coś kupujemy, to po to, aby tego używać: rower – by jeździć, kiełbasę – by ją zjeść, kapsułki do prania – aby mieć czyste koszule, itd. Firmę kupuje się po to, aby przynosiła zysk, oczywiście pod nadzorem właściciela. Jednak z posiadania niewielkiej liczby akcji, czyli małego kawałka jakiejś dużej firmy, pożytek jest żaden. Po co zatem ludzie kupują akcje? Jedynie po to, aby próbować sprzedać je drożej niż je kupili, czyli nimi spekulować. Co prawda niektóre spółki giełdowe wypłacają akcjonariuszom część swoich zysków (dywidenda), jednak per saldo, nie ma to większego znaczenia, gdyż akcje tych firm tuż po wypłacie dywidendy znacząco tanieją. Dominuje spekulacja.

Spekulacja zamiast racjonalności

Przyjęto się, że gdy firma dobrze prosperuje i ma przed sobą przyszłość, to ceny jej akcji powinny rosnąć. A skoro się tak przyjmuje, to ludzie kupują akcje firmy, o której sądzą, że dobrze prosperuje. I przez to akcje tej firmy rzeczywiście rosną. Mamy tu do czynienia ze samospełniającą się prognozą. Jednak, aby osiągnąć zysk ze spekulacji akcjami, trzeba w pewnym momencie postąpić inaczej niż większość graczy. Podobnie jest w zakładach bookmacherskich, gdzie wypłata za obstawienie jakiegoś zdarzenia, jest tym większa, im mniej graczy je obstawia (inaczej bookmacher by stracił). Jednak w takich zakładach obstawiamy wyniki realnych zdarzeń, a wiedza ekspercka o tych zdarzeniach zwiększa szansę na wygraną. Przy spekulacji akcjami, zdarzeniami, które mają wpływ na to, czy ta spekulacja się uda, jest nieprzewidywalne zachowanie innych graczy.

Obstawiając w zakładach bookmacherskich, wiemy więc, na podstawie notowań, jakie decyzje podjęli inni gracze. Na giełdzie dostęp do takich informacji jest znacznie ograniczony.

Co więcej, większość indywidualnych, giełdowych graczy nie interesuje się nimi kupując gotowe (skomponowane przez ekspertów) pakiety akcji zwane funduszami inwestycyjnymi.

Gra o sumie ujemnej

Większy dostęp do informacji o sytuacji na giełdzie mają pośrednicy (domy inwestycyjne, biura maklerskie, TFI), którzy potrafią tę wiedzę wykorzystać do zyskowej gry przeciwko swoim klientom. Dostęp do informacji o spółkach giełdowych jest w zasadzie regulowany, ale przecież menadżerowie korporacji wiedzą zdecydowanie więcej (i wcześniej) niż przeciętni giełdowi gracze. Podmioty, dysponujące dużymi pieniędzmi (szczególnie banki), mogą wpływać na kursy akcji. Z tych powodów gra na giełdzie przez indywidualnych graczy jest (używając języka teorii gier) grą o sumie ujemnej.

Aby zminimalizować tę przeciętną stratę z gry na giełdzie trzeba by zrezygnować z tej gry w z góry zaplanowanym momencie. Tak jednak mało kto robi. Ludzie rezygnują zazwyczaj wtedy, gdy zaraz po rozpoczęciu przygody z giełdą tracą. Osoby, które na giełdzie na początku coś zarobiły zazwyczaj za zarobione pieniądze kupują kolejne akcje. Aż w końcu też tracą i się zniechęcają do gry. Zjawisko to znacznie zwiększa przeciętną stratę osób grających na giełdzie. Identyczne zjawisko występuje w grach hazardowych (gdyby ludzie zachowywali się inaczej, kasyna przynosiłyby straty).

W czasie każdej sesji giełdowej wartość akcji sprzedanych jest równa wartości akcji kupionych. Ci, którzy kupują akcje liczą na to, że one zwyżkują a sprzedający prognozują przeciwnie. Zatem połowa graczy musi się mylić. Wygrana jednych, odbywa się zawsze kosztem innych.

Sprzedawcy marzeń

Gra na giełdzie ma, w dużej mierze, charakter losowy i przeciętnie przynosi indywidualnym graczom straty. Podmioty, które zarabiają na giełdzie nie eksponują rzecz jasna tego typu informacji ale przeciwnie – starają się na różne sposoby przekonać ludzi do kupowania akcji. Używa się odpowiedniego języka. Na przykład nazywając jednostki funduszy inwestycyjnych „produktami finansowymi”, co sugeruje, że firmy oferujące te fundusze, prowadzą coś w rodzaju „sklepów”. A przecież w sklepach sprzedaje się towary, które są nam potrzebne. Nazywa się graczy giełdowych „inwestorami”, które to słowo kojarzy się z racjonalną działalnością polegającą na tym, że ponosi się pewne nakłady, by potem czerpać z nich zyski, dokładając do tego jeszcze zwykle swoją pracę. Na przykład możemy realnie zainwestować kupując rower, by potem rozwozić nim pizzę. „Inwestowanie” na giełdzie nie ma z takimi, rzeczywistymi inwestycjami, nic wspólnego. Gra się też na ludzkiej ambicji, oferując fundusze inwestycyjne, które obdarza się etykietką ryzykownych ale zyskowych. A pokonywanie ryzyka kojarzy się z odwagą – cechą pozytywną. Itd.

Sprzedawcy akcji dysponują unikalną możliwością reklamowania swoich „produktów, gdyż oferty zakupu różnorodnych funduszy inwestycyjnych znajdują się na stronach www każdego banku. Musimy oglądać te oferty, gdyż nie możemy ominąć wchodzenia na strony www banków w czasach, gdy w obiegu dominuje pieniądź elektroniczny. Banki są instytucjami zaufania społecznego – a więc obecność tych ofert na ich stronach, dodatkowo wzmacnia wiarygodność gry na giełdzie.

Ważną rolę w zachęcaniu do gry na giełdzie pełnią państwowe obligacje, które, umieszczone w sprzedawanych funduszach inwestycyjnych mają ponoć spowodować, że inwestowanie jest „bezpieczniejsze”. Nie jest to racjonalne, podobnie jak nie jest sensownie zakładać, że ryzyko uprawiania niebezpiecznego sportu, na przykład boksu, będzie mniejsze przez to, że bokser będzie także grać w szachy. Przykładem przywiązania specjalistów od inwestowania do korzystnej, bo „stabilizującej” roli państwowych obligacji, są Otwarte Fundusze Emerytalne, gdzie przez wiele lat obowiązywała zasada kupowania za znaczną część składek emerytalnych właśnie tych obligacji. Po wielu latach dostrzeżono absurdalność tej zasady powodującej, że polskie władze zachowywały się jak ktoś, kto bierze pożyczkę, aby założyć lokatę. Trudno powiedzieć, czy było to świadomym działaniem na szkodę Polaków, czy też głupotą.

OFE są dobrym, choć kosztownym, testem na skuteczność ekspertów od „inwestowania”. Test ten wypada słabo, gdyż średnie wyniki wszystkich OFE są zbliżone do inwestowania w WIG. Uwzględnienie prowizji jaką pobierają OFE oraz faktu, że państwo, aby wpłacać im pieniądze musi się dodatkowo zadłużać jeszcze pogarsza ten bilans. W niektórych OFE straty sięgają nawet 30%.

Naiwniacy w świątyni kapitalizmu

Na giełdzie tracą (przeciętnie) indywidualni gracze. Zarabiają korporacje, gdyż dzięki giełdzie pozyskują gotówkę, co zapewnia im przewagę nad innymi, mniejszymi firmami (których jest zdecydowana większość). Warsztatowi samochodowemu czy sklepikarzowi nikt pieniędzy nie da. Korporacjom – tak. Zarabiają też pośrednicy (na prowizji) i banki, które dysponują nieograniczonym dostępem do pieniędzy, przez co sterują kursami giełdowymi i te pieniądze pomnażają.

Giełda to po prostu zakrojone na ogromną skalę dojenie naiwnych. Oszustwo to wspiera państwo (czego przykładem są OFE), banki oraz szeroko zakrojona akcja propagandowa prowadzona gdzie się da. Korzyści z giełdy osiągają jedynie finansjera oraz korporacje.

Te wszystkie „notowania giełdowe” w każdym medium, te wystąpienia „ekspertów” czy „głównych ekonomistów” banków czy funduszy inwestycyjnych bełkoczących o „sytuacji na giełdzie” (kogo to obchodzi?), opowiadających bajki o wielu korzyściach z „rozwoju rynków kapitałowych”, tysiące książek o „inwestowaniu” na giełdzie, ubolewania nad tym, że ludzie nie „oszczędzają”, doniesienia o spadkach i zwyczajach w tonie komunikatów z wojennego frontu, te analizy fundamentalne i techniczne, cała ta nic nie znacząca nowomowa, to celebrowanie giełdy zupełnie jak w jakiejś świątyni (kapitalizmu), tłum zabieganych, drobnych pośredników opowiadających banialuki o „korzystnych instrumentach finansowych”, podniecanie się, że jakaś firma „kosztuje” 1000 miliardów dolarów, te piramidy nachalnej lub też subtelnej kryptoreklamy giełdy – cały ten pasożytniczy cyrk – jest to wszystko jedno wielkie kłamstwo, oszustwo, które służy tylko i wyłącznie wyciągnięciu kasy od ludzi.

*Autor jest niezależnym ekspertem gospodarczym i prawnym a także przedsiębiorcą.
Przez wiele lat pracował naukowo zajmując się statystyką matematyczną.*

Posiada tytuł doktora nauk fizycznych.